

Michael Morys-Twarowski: Dwie czaszki i mówiąca głowa

Życiorys Wojciecha rzeczywiście był bez zarzutu. Urodził się jako syn księcia z czeskich Libic, kształcił się w prestiżowej szkole w Magdeburgu. W 983 roku, nie mając nawet trzydziestu lat, został biskupem praskim, ale owieczki miał wyjątkowo niesforne. Bezskutecznie walczył z wielożeństwem, z handlem chrześcijańskich niewolników, o traktowanie kościołów jako miejsc azylu. W końcu dwa razy samowolnie opuszczał diecezję. Rozdarty między chęcią bycia zakonnikiem a pracą misyjną, ostatecznie zdecydował się na drugą opcję – pisze Michael Morys-Twarowski w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Św. Wojciech i fundamenty polskiej polityczności”.

W 997 roku w Gnieźnie pewien tajemniczy wędrowiec zażądał widzenia z księciem Bolesławem, którego kiedyś będą nazywać Chrobrym. Kiedy postawiono go przed obliczem władcy, powiedział, że wraca z Prus i przynosi wieści o biskupie praskim Wojciechu. Jak poinformował wędrowiec, biskup zginął z rąk pogan, a na dowód z worka wyciągnął... jego głowę. W ten sposób Polska zyskała szansę na swojego pierwszego świętego w historii.

Niedługo potem do Gniezna dotarli towarzysze biskupa, który razem z nim udali się do krainy Prusów, próbując nawrócić ich na chrześcijaństwo. Opowiedzieli ze szczegółami o męczeństwie Wojciecha i o tym, że jego odcięta głowę poganie nabili na pal.

Prawdopodobnie tajemniczego wędrowca skusiła ewentualna nagroda, chociaż według XIII-wiecznego przekazu to odcięta głowa Wojciecha sama poprosiła, aby zabrać ją do Polski. Dla Bolesława Chrobrego w istocie miała sporą wartość, bo zaraz wykupił resztę ciała męczennika i pochował je w gnieźnieńskim kościele. Mógł wtedy powiedzieć z ulgą: „Wreszcie Polska ma swojego świętego”.

Święty bez formalności

Dokładnie – w ten sposób Polska zyskała patrona. Wprawdzie wielu historyków powtarza, jakoby biskup Wojciech został kanonizowany w 999 roku, popełniając najcięższy grzech w swoim fachu – grzech anachronizmu. W rzeczywistości nie potrzebowano zgody Stolicy Apostolskiej. „W X i XI wieku znane są dość liczne przykłady, kiedy osoby niezwykle religijne, cieszące się z tego tytułu wielkim uznaniem jeszcze za życia, niemal natychmiast po śmierci były uznawane za święte i jako takie czczone bez jakichkolwiek formalności” – pisze poznański mediewista Dariusz Andrzej Sikorski w znakomitej monografii *Kościół w Polsce za Mieszka I i Bolesława Chrobrego*. Wskazuje też, że w przypadku świętego Wojciecha „jego reputacja za życia: zamiłowanie do życia monastycznego, a nawet eremickiego, asceza, wyrzekanie się godności świeckich (które to fakty były powszechnie znane), a przede wszystkim męczeńska śmierć za wiarę w trakcie ewangelizowania pogan czyniły z niego niejako automatycznie męczennika, którego kult nie wymagał według ówczesnych wyobrażeń jakiegokolwiek potwierdzenia, tak jak to było z całą masą męczenników czczonych od starożytności w Kościele katolickim”.

Od chwili, kiedy Mieszko I w 966 roku za namową żony przyjął chrzest, do śmierci Wojciecha upłynęło 31 lat. Przez ponad trzy dekady Polska nie doczekała się żadnego świętego

Życiorys Wojciecha rzeczywiście był bez zarzutu. Urodził się jako syn księcia z czeskich Libic, kształcił się w prestiżowej szkole w Magdeburgu. W 983 roku, nie mając nawet trzydziestu

lat, został biskupem praskim, ale owieczki miał wyjątkowo niesforne. Bezskutecznie walczył z wielożeństwem, z handlem chrześcijańskich niewolników, o traktowanie kościołów jako miejsc azylu. W końcu dwa razy samowolnie opuszczał diecezję. Rozdarty między chęcią bycia zakonnikiem a pracą misyjną, ostatecznie zdecydował się na drugą opcję. Tak trafił na dwór Bolesława Chrobrego, a stamtąd ruszył do kraju pogańskich Prusów, gdzie znalazł męczeńską śmierć.

Patron na wagę złota

Od chwili, kiedy Mieszko I w 966 roku za namową żony przyjął chrzest, do śmierci Wojciecha upłynęło 31 lat. Przez ponad trzy dekady Polska nie doczekała się żadnego świętego. Obiektem kultu nie stał się ani pierwszy chrześcijański książę Mieszko, ani jego żona Dobrawa (Dąbrówka), będąca matką chrzestną kraju, ani pierwszy polski biskup Jordan, o którym pisano, że ze swoimi wiernymi „ciężką miał pracę, zanim, niezmordowany w wysiłkach, nakłonił ich słowem i czynem do uprawy winnicy Pańskiej”.

O świętych nie było wcale łatwo, a zwłaszcza o kogoś takiego jak Wojciech.

Reputacja i męczeńska śmierć nie podlegały dyskusji, w dodatku pochodził z wyżyn społecznych

W ogóle polska dynastia książęca musiała na pierwszych świętych czekać aż do XIII wieku. Polski episkopat też nie obfitował w świętych. Radzim-Gaudenty, przyrodni

brat świętego Wojciecha i pierwszy arcybiskup gnieźnieński, został wprawdzie otoczony kultem, ale nawet po śmierci pozostawał w cieniu męczennika zabitego przez Prusów. Z kolei biskup krakowski Stanisław (zm. 1079) poniósł śmierć w dyskusyjnych okolicznościach. Jeszcze Anonim zwany Gallem, piszący na początku XII wieku, nazywa go „zdrajcą” – i mniejsza o zasadność tego określenia, ważne, że tak uważano na książęcym dworze. Dopiero początek XIII wieku przyniósł zmianę oceny postawy krakowskiego biskupa i intensyfikację kultu.

Tak więc o świętych nie było wcale łatwo, a zwłaszcza o kogoś takiego jak Wojciech. Reputacja i męczeńska śmierć nie podlegały dyskusji, w dodatku pochodził z wyżyn społecznych (więzy powinowactwa lub pokrewieństwa łączyły go i z czeskimi Przemyślidami, i z rządzącymi Rzeszą Ludolfingami). Był przyjacielem samego cesarza Ottona III i, jak to niedawno ujął historyk Wojtek Jezierski z Uniwersytetu w Oslo, „celebrytą kościelnej sceny politycznej w jego państwie”.

Nic więc dziwnego, że książę Bolesław Chrobry był gotów zapłacić za ciało męczennika tyle złota, ile ważył. Potrzebował świętego protektora, który miał mu zapewnić sukcesy w ziemskim życiu. Władca robił wszystko, by zyskać przychylność Niebios. Wydłużył swoim poddanym posty w porównaniu z sąsiednimi krajami, łamiącym je wybijał zęby, a cudzołożników kastrował. Kierowało nim przekonanie, że przestrzeganie Praw Bożych zapewni Polsce (czyli państwu dynastii Piastów) pomyślność.

Przekonanie to podzielały też elity polityczne, traktując relikwie świętego Wojciecha jako zwornik wspólnoty państwowej. Jego męczeństwo szybko wydało konkretne owoce. W 1000 roku powstało arcybiskupstwo gnieźnieńskie, a polski książę zyskał prawo inwestytury biskupów w swoim państwie. Gnieznu podporządkowano biskupstwa krakowskie, wrocławskie i kołobrzesckie, nieco później również poznańskie. Kościół w Polsce zyskał ramy organizacyjne.

Dwie głowy świętego Wojciecha

Monarchia pierwszych Piastów zawdzięczała swój rozwój terytorialny drużynie książęcej – władca finansował wojowników, prowadząc ich na wyprawy, przynoszące łupy, niewolników, a czasami nowe ziemie. Z różnych przyczyn model ten wyczerpał się w latach 30. XI wieku, na pewno nie pomogły też walki toczące między synami i innymi krewnymi Bolesława Chrobrego. Na przestrzeni lat 1032–1034 życie stracili trzej synowie pierwszego polskiego króla. Kilka lat później na wygnaniu znalazł się jego jedyny znany wnuk, Kazimierz Odnowiciel.

Na pogrążony w chaosie kraj w 1038 albo 1039 roku uderzył czeski książę Brzetysław I, plądrując między innymi Gniezno. Najeźdźcy zabrali stamtąd również relikwie Wojciecha i innych świętych. Niebawem w Pradze odbyła się wielka uroczystość, a Brzetysław i miejscowy biskup Sewer, jak pisał kronikarz Kosmas, „dumni nieśli na ramionach słodki ciężar męczennika Chrystusowego Wojciecha”. Był to nie tylko akt religijny, ale i polityczny. Mediewistka Maria Starnawska przedstawia kwestię następująco: „Postrzeganie przez współczesnych, także poza granicami Polski, ciała św. Wojciecha jako fundamentu współtworzącego polską wspólnotę państwową pozwala przypuszczać, że zamiarem Czechów było nie tylko pozyskanie nowego patrona dla siebie, ale i unicestwienie państwa polskiego i metropolii gnieźnieńskiej poprzez pozbawienie ich niezbędnego do istnienia zwornika”.

Monarchia pierwszych Piastów zawdzięczała swój rozwój terytorialny drużynie książęcej – władca finansował wojowników, prowadząc ich na wyprawy, przynoszące łupy, niewolników, a czasami nowe ziemie

Mimo to Polska przetrwała. Około 1040 roku do kraju wrócił Kazimierz Odnowiciel, który po kilkunastu latach krwawych prac zdołał odzyskać większość ziem należących do Piastów.

Odbudowane

państwo pozostawało jednak bez relikwii. Wprawdzie Kazimierz Odnowiciel, spokrewniony z najlepszymi rodami Rzeszy (jego matka była wnuczką cesarza Ottona II), miał wystarczające koneksje, by jakieś

ściągnąć, ale nie chodziło o wsparcia dowolnego świętego lub świętej. Polska przecież już miała swojego patrona i nie chciała z niego rezygnować.

Z jednej strony wygląda to na łapczywość młodego chrześcijańskiego państwa, które miało „swojego” wielkiego orędownika, z drugiej efekt tego, że w innych krajach często funkcję patronów spełniał duet świętych, jeden „dynastyczny”, drugi „kościelny”. Biorąc pod uwagę brak świętych z rodu Piastów, praski biskup pełnił funkcję jednego i drugiego. Dlatego nadal pozostawał patronem Polski, chociaż jego relikwie uwieziono nad Wełtawę.

Anonim zwany Gallem opisuje, jak święty Wojciech zapewne w 1097 roku ratuje pewien pograniczny gród przed Pomorzanami, ukazując im się lub wywołując wizję „męża zbrojnego na białym koniu, który straszył ich dobytym mieczem i pędził ich na złamanie karku ze schodów i podwórze grodu”. Około 1118 roku książę Bolesław Krzywousty bije srebrne denary z napisem ADALBIBVS (po łacinie Wojciecha określano imieniem Adalbert, które przyjął na bierzmowaniu). Wreszcie w 1127 roku kraj obiega wieść, że w Gnieźnie odkryto zaginioną głowę świętego męczennika.

Południowi sąsiedzi oczywiście nie śpią. W 1129 roku biskup praski Meginhart każe oprawić w złoto relikwiarz posiadane szczątki świętego Wojciecha, a w 1143 roku w Pradze ogłaszają, że właśnie w mieście nad Wełtawą odnaleziono jego czaszkę. Polska wersja wprawdzie nie zgrywa się z przekazem o zabraniu relikwii przez księcia Brzetysława I w 1039 roku, chociaż warto mieć na uwadze, że pewne części ciała świętego, przechowywane zgodnie z ówczesną praktyką w osobnych

relikwiarzach, mogły zostać uratowane przez najeźdźcami. Dopiero w XV wieku kronikarz Jan Długosz próbuje uzgodnić oba przekazy, twierdząc, jakoby Polacy oszukali Czechów, wydając im tylko relikwie Radzima-Gaudentego, brata Wojciecha.

Ważniejsze jest przekonanie, że Polska ma swojego protektora znowu u siebie. W tym kontekście XIII-wieczna opowieść jakoby wbita na pal głowa męczennika prosiła tajemniczego wędrowca, aby zaniósł ją do Gniezna, staje się czymś więcej niż tylko motywem literackim czy przykładem sardonicznego humoru.

Michael Morys-Twarowski

Zdjęcie: Jan Morek / Forum

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego.



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego